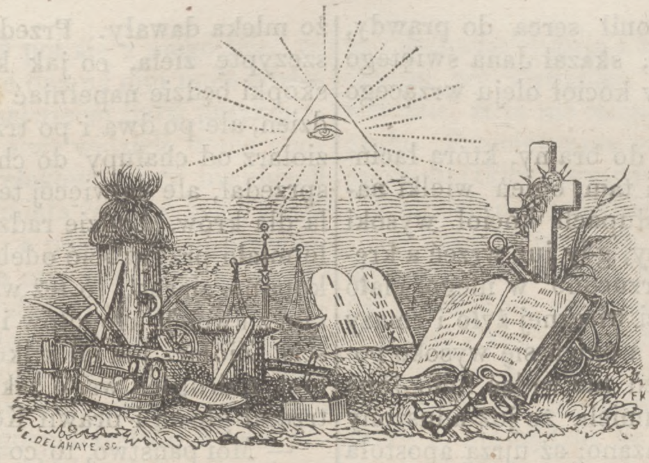
№ 22.

WARSZAWA

1 Czerwca

1862.



REDAKCYA

CZYTELNI

przy ulicy Chmielnéj

Nr 1527.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

TREŚĆ: *Męczeństwo Śgo Jana Ewangielisty.— O ziarnie zakopanem, powieść (dokończenie.)*

Męczeństwo Śgo Jana Ewangielisty.

—

Wszyscy apostołowie męczeńską śmiercią, na wzór Pana swego zeszli. O jednym Janie Śtym Ewangieliście pewna jest wiadomość, iż postarzały przyrodzoną śmiercią sam w grób wstępując, umarł. Wszakże korony męczeńskiej nie stracił, i z swymi towarzyszami rówwno w tej mierze poczytany jest: bo w Rzymie na męczeństwo dany i na śmierć dla Chrystusa skazany był, i w ogień wielki wrzucony, dla prawdy jego cierpiał tym sposobem.

Za czasów cesarza Domicjana, gdy chrześcian na śmierć szukano, najpierwsi byli biskupi i starsi chrześciaństwa, na które się jad pogaństwa więcej rozciągał. Już było po męce Pańskiej lat blizko pięciudziesiąt i kilka, a jeszcze Jan święty jako ze wszystkich apostołów najmłodszy, żyw był i patrzył na zburzenie Jeruzalem i królestwa Żydowskiego, wedle proroctwa pańskiego, upadek; rządził kościołem w Azyi, kiedy Domicjan zabijać chrześciany i przedniejszych do Rzymu związanych posyłać rozkazał. Pojmany jest w Efezie Jan święty Ewangelista, i ciężko związany z wielkiém utrudzeniem przyprowadzony jest do Rzymu. Gdzie chrześciany od Piotra Śgo i Pawła nawrócone posilając, a zbawiając bardzo je uweselił, iż patrzyli na onę anielską twarz już sędziwą, onego ucznia, którego miłował Chrystus. Na ten czas Klemens rzymianin rodu senatorskiego zacnego, uczeń Piotra Śgo kościół Boży sprawował; który z wielką czcią, ile w onym ucisku i prześladowaniu być mogło, przyjął takiego gościa.

Zbiegli się do tego więzienia w którym był posadzony chrześcianie, a jako pszczoły z onego ula tajemnic bożych miód słodkiej nauki brali, i z onej się skrzyni, w którą był Pan Jezus swoją wysoką o bóstwie swym naukę schował, bogacili.

Potém cesarz przyprowadzić do siebie kazał Jana świętego i gdy jego wyznanie zrozumiał i kazanie o Bogu naszym Jezusie ułyszał, gardząc tym, a każąc mu swym bogom ofiary czynić, usłyszał z czystego onego panieńskiego serca mężny głos: „Nie godzi się w tym ciebie słuchać cesarzu!“ A gdy go o Jezusie Chrystusie nauczał, nie chciał dalej słuchać on tyran, ale przynieść okrutnego jadu i trucizny kazał, aby ją pił Jan święty, a karanie wziął za nieposłuszeństwo. Wypił ochotnie Jan święty one napoje śmierci, ale nie tylko śmierci, lecz i boleści nie uczuł. Patrzył długo cesarz, czy rychło się powali i umrze, ale doczekać się nie mógł; a jednak nie poznał

mocy boskiéj i nieskłonił serca do prawdy, lecz w uporze zostając, skazał Jana świętego na inną śmierć: aby w kocioł oleju wrzącego wrzucony był.

Wiedziono apostoła do bramy, którą łacińską zowią w Rzymie, i tam ogień wielki nanieciono, na dwóch słupach kocioł wysoki oleju pełny zawiesiwszy, gdy już wrzeć a kręcić się olej począł, wrzucono w niego ciało one, które w czystości wiecznej żyło i zmazy nie znało. Wrzał olej, a ogień się wysoko podnosił, i przez płomień nie widać było Jana świętego, aż gdy rozumieli, że już uduszony został, ugasić ogień kazano; aż ujrzą apostoła w kotle zdrowego i chwalącego Pana Boga, żadnej szkody na członkach nie mającego. Zdziwili się wszyscy i wielu pogan zawołało: „Wielki Bóg chrześcijański!“ A cesarz gdy się o tém dowiedział, wolał mordowanie za niechać, a niżeli się więcej o człowieka onego, jako mniemał, nieśmiertelnego kusić, a sławę większą i pociechę chrześcianom czynić. Tedy go wygnać na wyspę Patmos rozkazał, gdzie one widzenia miał i objawienia, które napisał. I był tam aż do śmierci Domicjana, wtedy wolnym został i wrócił do Efezu.

O ziarnie zakopanem

POWIEŚĆ.

(Dokończenie.)

—

Od świętego Wojciecha, bywa w polu pociecha, ale w tym roku pociecha ludzi omijała, bo zimno ciągle stało, wiatry świszczały po polach, a ranne przymrozki wędziły ozime i trawę na łąkach, a jarzyna kiełkować nie chciała. Martwili się ludzie o przyszłe zbiory i radzili co tu począć, bo z braku trawy i krowy dawać mleka nie chcą. Rzębicha znowu dowodziła, że to wszystko pochodzi z zakopanego ziarna, i że tak będzie zawsze, dopóki ono tam będzie leżyć w trumnie. Kołtun wtórował Rzębisze i dowodził, że oni tylko oboje rzecz należycie rozumieją, a resztę ludzi ksiądz omamił. Znalazł się przecie człowiek, który roznosił zawsze po wsiach różne leki od uroku, od kochania, od kolki, od zimna i od tysiącznych dolegliwości i chorób ludzkich, roznosił ode wsi do wsi tysiączne wieści i bajki i obrazki i zioła dla krów, żeby dużo mleka dawały. Przedawał za kilka groszy szczyptę ziela, co jak krowa zjé, to pełne skopki będzie napełniać mleka i to nie raz na dzień, ale po dwa i po trzy razy. Chodził ten ziolarz od chałupy do chałupy, w każdej coś sprzedał, ale najwięcej tego naszeptanego ziela dla krów. Ludzie radzi byli z niego, bo ziele miało przywrócić odebrane mleko przez zakopane ziarno, to też wywnętrzali się przed nim z swoich kłopotów i ze swojego nieszczęścia. Ziolarz już od kilku dni wiedział od kobiet z drugich wsi o zakopanem ziarnie, potrząsał głową i prawił Kozierożakom:

— Moi państwo, to co mi opowiadacie, bardzo mnie straszy, żeby was straszny głód nie spotkał, bo nie na dobre to ziarno zakopane z umarłym.

— A widzicie, mówiła Rzębicha, nie mówiłam ja tego samego co i ziolarz, że nie na dobre. Powymieramy z głodu i basta, kiedy nie wierzyta.

— Oj wierzta mi państwo, przerwał ziolarz, że ja się na tem znam, to na nieszczęście się ma. W jednej wsi od Tarnowa tak samo się zrobiło, trochem tylko pomógł biedzie, ale skończyło się, że musieli wykopać ziarno.

— A czemeście pomogli trochę biedzie? zapytał Kołtun.

— A miałem takie ziele, co się przez trzy dni paliło przed obrazami w samo południe, i to pomagało nie wiele, odpowiedział ziolarz.

— A macie jeszcze takie ziele? zapytała Rzębicha.

— A mam jeszcze kruszynę, odpowiedział ziolarz.

Wszyscy zaraz za Rzębichą zażądali takiego zamówionego ziela od nieszczęścia i ziolarz po dwa grosze przedał go więcej jak za dwa złote. Nauczył jak się mają obchodzić z niem przy owem paleniu w same południe i poszedł dalej do innych wsi z ziołami i wieściami pozbieranemi między ludźmi.

Na drugi dzień po odejściu ziolarza, cała wieś głośno rozprawiała, że trzeba wykopać ziarno, a cicho szeptała o czarach Józwowej. Rzębicha już nawet opowiadała po cichu niektórym kobietom, że widziała w jedną sobotę, jak Józwowa leciała na łopacie na Łysą górę, to znowu że widziała ją w polu jak wymachiwała ręką, że co machnęła ręką, to zaraz tam marniała trawa, i że koń Kołtuna co

się grzeje co rano aż pot się z niego leje, to nie co innego, jeno że ona na nim musi gdzieś jeździć. To ostatnie najwięcej ludzi przekonywało, bo na własne oczy widzieli konia spoconego nieraz, a Pawelakowi wiary nie chcieli dawać, żeby łasica miała łechtać tego konia i zagrzewać do potu, a później go oblizywać.

Przestrach padł na całą wieś, krzyki wyzywania i odgróżki na Józwowę coraz się więcej powtarzały, aż jednego razu z wieczora Pawelak poszedł do Józwowej i powiedział jej:

— Słuchajcie Józwowo, nie ma rady tylko oddajcie szwagrowi gospodarstwo, a sami póki się to nie uspokoi, idźcie gdzie w świat.

— A gdzie to ja biedna kobieta podzieję się w świecie, kiedym tam jeszcze nigdy nie była? wyrzekła Józwowa z płaczem.

— Gdzie chcecie Józwowo to idźcie, powiedział Pawelak, najlepiej idźcie daleko, choćby do Krakowa, żeby o was nikt nie wiedział, nawet swoim nie powiadajcie żeby się nie wygadali. Tu wamby teraz było strasznie zostać, a z głupim narodem nie poradzicie, bo on woli słuchać Rzębichy albo ziolarza, jak mnie a nawet księdza.

— A to już pójdę, kiedy tak radzicie, zawołała Józwowa z okrutnym płaczem. Oj dzieciska, dzieciska moje, na co wyście przyszły ze mną!

— Nie gadajcie długo i nie płaczcie, przemówił Pawelak, jeno idźcie jeszcze dzisiaj do Krakowa, ja tu będę baczył na wasze dzieci, a jak usłyszycie że się uspokoiło wszystko, to przyjdziecie i najprzód do księdza wstąpicie, żeby się na dobre wywiedzieć.

Józwowa ze łkaniem upadła do nóg Pawelaka i ściskała go za nogi. O północku przeżegnała dzieci co spały, pomodliła się, wyszła z domu z kawałkiem chleba i z kilku złotemi pieniędzy i puściła się zapłakana w nieznaną stronę do Krakowa.

Kiedy Józwowa wyszła na trakt bity o wschodzie słońca, Pawelak poszedł do miasteczka i powiedział księdzu o wszystkiem co się działo w Kozichrogach: o Józwowej, że musiała uciekać i o tém, że ludzie naprawdę chcą odkopać trupa z ziarnem. Ksiądz powiedział na to Pawelakowi:

— Mam ja nadzieję przekonać tych ludzi, tylko żeby oni przyszli do mnie. Ale i tego nie potrzeba, lepiej przemówię ja z kazalnicy, to i inni skorzystają z mojego słowa. A tymczasem wy Pawelaku po swojemu tam powiedźcie, że ja nie mogę pozwolić odkopywać grobu. Przecież mnie rozumieją, że ja nie chcę nigdy ludzkiej krzywdy.

Pawelak odpowiedział księdzu:

— Żeby to wszyscy rozumieli, proszę jegomości, toby dobrze było, ale mnie się widzi że jakoś nie zrozumieją... i pokręcił głową.

Kiedy Pawelak wrócił do wsi, zastał przed chałupami kobiety rozgadujące przed sobą, że rozsada im nie powschodziła i że kapusty przez to nie będzie, bo między ziarnem zakopanem była i rozsada. Rzębicha dowodziła jak za zwyczaj najwięcej, a Kołtun wyśmiewał księdza i ludzi co go słuchali. Kobiety broniły swoich chłopów i każda prawiła żę jak inni pójdą, że i jej chłop pójdzie do odkopywania trupa. Od słowa do słowa, zagrzały się kobiety do sprawy, pozwoływały chłopów z rydlami. Zbiegła się cała wieś, mali i duzi, i słuchali narady jak mają postąpić. Ale Kołtun powiedział, żeby bez księdza iść na cmentarz, zrobić swoje, a potém dopiero księdzu powiedzieć o wszystkiém. Usłuchali chłopi rady Kołtuna i poszli za nim prosto na cmentarz. Głupi Wojtek przysłuchiwał się też tej naradzie i że mu się nie zdała taka robota z trupem bez księdza, popędził na plebanją co mu tchu stało i powiedział księdzu:

— Przyleciałem do jegomości powiedzieć, że bez jegomości chcą nieboszczyka Józwa odkopać.

— Co ty mówisz? rzekł ksiądz przerażony.

— A już idą ludzie z rydlami na cmentarz.

Ksiądz wybiegł z plebanii i przez sad zdążał na cmentarz, żeby na miejscu uprzedzić ludzi. Naprawdę zobaczył, że kilkunastu ludzi już podchodziło do grobu. Stanął sam na grobie i zawołał:

— Upamiętajcie się ludzie, szatan was kusi, obrażacie Boga Ojca na niebie, że myślicie iż Wszechmocność i wola Jego mniejsza jest od mocy złego człowieka, któryby przez ziarno włożone do trumny, tę Wszechmocność zniszczył. Jeśli wam brak wiary, to zastanówcie się prostym rozsądkiem i odpowiedźcie mi.

Z początku nikt nic nie odpowiedział, ale wszyscy milczeli i stali z rydlami dopóki ksiądz nie odejdzie. Ksiądz to zmiarkował i powiedział:

— Może chcecie mnie przeczekać, nie pójdę z grobu, dopóki nie odstąpicie.

Jeszcze nikt się z ludzi nie ruszył, stali i stali, a ksiądz przekonywał z przykładu i z pisma świętego, że czarów na świecie nie było i że nigdy nie będzie. Długo się ksiądz pocił i przecieć poruszył jednego i drugiego, że się zaczęli wahać co robić. A jak się przekonali że księdza nie przeprą, i jak zobaczyli że już z organistą kilku ludzi przyszło od miasteczka i że jeszcze inni nadchodzili, pomiarkowali że swego nie dokażą i wrócili się do Kozichrogów. W Kozichrogach kobiety naśmiewały się z chłopów, że są baby, że gorsi od bab, że każdaby z nich na ich miejscu nie zważała na księdza, a grób by odkopały. Rzębicha darować nie mogła Kołtunowi że i on do niczego i mawiała na głos:

— Myślałam kochaneczki, że Kołtun do wszystkiego tęgi chłop, a on jeno w gębie pokazuje się dobry. Oj nie będzie już dobra kiedy chłopi pobabieli, jeno że trochę roboty od nich. Kiedy na stołku miska i wesele albo chrzciny we wsi, to oni zuchy, aż im się uszy trzęsą od zuchostwa. Nie będzie dobra kochaneczki, nie, pobabieli nam chłopi, nie ma rady, już nastanie koniec świata!

Parę dni tak przeszło na natrząsaniu się kobiet nad chłopami i na wyśmiewaniu ich nieśmiałości. Przyszły Zielone Świątki, chałupy się postroiły w ziela, w zielone gałązki, tak ładnie, że wieś wydała się cząstką raju ziemskiego. W izbach, sieniach i w komorach leżał na ziemi tatarak, obrazy na ścianach wisiały w wieńcach zielonych. Nawet dziewczęta co szły do kościoła, postroiły sobie głowy kwiatami, a chłopcy powtykali gałązki za kapelusze. W miasteczku było tak samo, wszędzie zielono niby w raju. Kościół zrobił się jak młodszy. Ołtarze jakby zakwitły cudownie, tak na te Zielone Świątki były ustrojone. Tylko jednego brakło tam, jednego tylko, jeno czystej świętej wiary w Boga bez mieszania zabobonów, jeno ufności do rzetelnych a światłych ludzi. Gdyby to było, to i twarze starszych ludzi z Kozichrogów i Jana Pawelaka i księdza samego byłyby weselsze. Najbardziej ksiądz zesmutniał, sturbował się okrutnie, aż prawie nie spał nic w nocce poprzednie. To też jak wszedł na ambonę, tak prawił, tak gadał do ludzi, że te zabobony ludzkie tak mu gniotą myśli w głowie, tak go ściskają w duszy, że mu się zdaje, że go już za żywa bryła ziemi przywala i odetchnąć nie może. Tak się naprawił na ambonie, że już mu głosu nie starczyło, pot mu się lał z czoła jakby się zmachał cepami, ochrzypł do cna; a tak zaklinał ludzi żeby dali pokój zabobonom, a wierzyli w Boga i w świętą Ewanielją, że osłabł tak, że kiedy schodził z ambony, to usiadł sobie na schodkach i spoczywał, a ocierał sobie pot.

Pewno, że ludzie posłuchaliby księdza po takiem kazaniu, ale złe ma na świecie ludzi, któremi się posługuje. Albo to nie żyli Rzębicha i Kołtun, żeby zepsuć co ksiądz naprawił? Oj żyli i byli zdrowi.

Już w drodze z kościoła Rzębicha dowodziła ludziom, że ksiądz gada jak ksiądz, bo mu tak wypada i mówiła:

— Niechby to on był na naszém miejscu, toby poznał czy są zabobony, czy ich nie ma? A jemu wszystko jedno czy urodzaj, czy nieurodzaj, bo czy kto umrze, czy się urodzi, nie obejdzie się bez księdza. Oj kochaneczki, choć ksiądz w lesie, to mu każdy niesie! Nie będzie on nigdy znać głodu, nie! A ludziom biéda. Albo to już nie czuć przednowku. Ja kochaneczki oddawna już nie mam ani jednego kartofelka, odrobinę jeno mąki mi zostało aż do żniw. Tylko tyle że człek szczawiskiem żyje i musi się napychać chwastem albo bedłkami, jak się czasem zerwie. Człek wié że to strawa jeno z tego, że się solą posypie, a o okrasie jużem zapomniała jaki ma smak.

— I u nas też nie ma nic w komorze, jeno się chwaściskiem żyje, przemówiła Rafałka.

— A bogać się tam gdzie uchowało ziarno w komorze, chyba że u Pawelaka, zawołał Kołtun.

— To wszystko nic co gadata, zawołała stara Jantoska, człekby przeżył do żniw ze zarobku chociaż, ale co to będzie że rozsada nigdzie nie powschodziła, toć to i głęba kapusty nie włoży się w beczkę na zimę.

— A nie, rzekła z przekąsem Rzębicha. Niech leży ziarno w trumnie, niech leży, kiedy chłopi tacy zachowaci, że się księdza jednego boją. Popuchną z głodu i oczy wypłaczą ze zmartwienia, jak im dzieci powymierają.

— Oj to prawda, przemówił Kołtun, że aż żal patrzeć i teraz na dzieciska, wołają: chle-

ba, chleba, i dostań że tu chleba, kiedy go w całej wsi nie ma.

Jak przyszli ludzie do wsi, rozeszli się każdy do siebie, żeby posilić się przy święcie chlebem z resztek mąki, której może w jakiej chałupie wystarczyło i na kluski; a inni przestawali na kaszy na wodzie, bo i mleka zabrakło w tym roku. W zeszłych latach było tak samo, bo o te czasy zagląda na wsie straszna klęska, ten przednówek straszny, co to ludziom każe patrzeć z bliska na swoją śmierć głodną, albo na utratę kawała gruntu albo i samej chałupy i na ten chleb proszony dla siebie i dla dzieci ponędzniałych i obdartych. Ja powiadam że nie ma na świecie większego stracha nad przednówek; marnieje człek albo na długo albo na zawsze. Ale jest to tak wszędzie na całym świecie, a roztropni ludzie radzą sobie gdzie niegdzie, żeby ten strach nie przychodził. Czemu podobnie nie poradzili sobie w Kozichrogach? Czemu nie zsypywali rok rocznie po korcu zboża, żeby im było na ciężki przednówek, na ciężki rok, albo i na dwa? Boć bywa że rok po roku bywa gdzie nieurodzaj, a potém znów rok po roku aż gną się ciężkie kłosy od ziarna.

Porozchodzili się wszyscy ludzie do chałup, tylko jeden głupi Wojtek zanim poszedł do siebie, zakręcił ku chałupie Józwowej i wlazł do izby niby żeby napić się wody. Bo on już poznał od kilku dni że gospodyni w domu nie ma, ale się z tem przed nikim nie wydawał, tylko z boku miał baczenie, żeby się sierotom w chałupie krzywda nie działa, ani gospodarstwu. Był on niby jak tajemny duch, co się opiekował chałupą Józwowej. Nie wiedział on nic o opiece Pawelaka, ale przez się miarkował, że jakby jakie złe zagrażało temu gospodarstwu, toby nikogo nie wezwał na ratunek jeno Pawelaka najpierwszego. Po obiedzie ludziom zeszło na spoczynku i na karczmie.

Na drugi dzień świąt też zeszło na kościele, na karczmie, na pocieszaniu się gorzałką: bo dawno wiadomo, że na frasunek dobry trunek. Upały zaczęły się straszne; czego przymrozki nie wywędziły w polu, to teraz gorąca wypalały. Aż ciężko było na świecie od spiekoty, że nie tylko ludzie i bydło wytrzymać nie mogło, ale zdawało się nawet że ziemia pęka, a drzewa się zapalą. Ludzie snuli się po wsi jak duchy, wynędzniali i osłabli. Każdy spoglądał na niebo, czy się chmurka zkąd nie pokaże, ale nie widać i nie widać było. Dopiero jednego dnia kiedy skwar piekł prawie wszystko na pieprz, pokazały się ze trzech stron nieba czarne chmury i sunęły się wszystkie ku Kozimrogom.

Radość ludzi ogarnęła, że deszcz odwilży pola, że się zboża podratują i ogrody ożywią. Każdy składał ręce i prosił Boga o świętą łaskę z nieba. Parno się zrobiło już niesłychanie. Nagle wicher się zerwał, ludzie się pochowali do chałup. Snopki z budynków jakby kawki latały po powietrzu. Żurawie u studni i wrota skrzypiały, ściany się trzęsły. Burza straszna zawyła do koła, że świata bożego nie było widać. Grzmoty huczały jakby się niebo zawalało, a pioruny trzaskały jakby świat pękał na części. Zamiast deszczu taka raptowna ulewa nastała, jakby całe chmury obrywały się z wysokości. Pociemniało wszędzie, ze dnia noc się zrobiła, tylko od czasu do czasu błyskawica jaskrawie przyświecała stworzeniom, co się na świecie dzieje. Ludzie modlili się w chałupach i tulili się jak trusie do siebie z przestrachu. Pan niebios tylko widny był w cząsteczce mocy swojej!..

I temu Panu mówili, że Józwowa odważyła się odebrać moc, garstką ziarna!..

Burza nie długo przeszła, ale cóż zostawiła po sobie? Kto wyjrzał z chałupy i spojrzał, zapłakał. Poprzewracane stodoły, chlewy, obory, pozrywane groble, pozamulane łąki. Zasiewy poszły z wodą, drzewa powyrywane z korzeniami. Zapłakał lud nad swojém nieszczęściem, nad dolą opłakaną co go czeka, nad głodem całorocznym, nad dzieciskami niewinnemi, co im nie będzie co dać do garści. Zapłakał lud boży, tylko Rzębicha rozpasała się w gniewie i wrzeszczała na całe gardło.

— To ten upiór szkaradny narobił tego w grobie, a bodaj ci tam w piekle siarki nie nastarczyli, a bodaj twoje dzieci wymarniały!

Kołtun poszedł do Rzębichy, żeby się nasłuchać jej wyrzekań, ale ona wrzasła na niego:

— Idźcie sobie od moich oczów, bo wy wszyscy trzymacie z czarownikami, gałgany wy, baby! Przez was ludzie marnieją, że nie umieta sobie radzić. Dadzą spokojnie leżyć w grobie temu czarownikowi, a on cały świat do góry nogami przewróci...

— Prawdę mówicie Rzębicho, prawdę, za-

wołała stara Jantoska, że dzisiaj z chłopów nie ma porady.

Za starą Jantoską inne kobiety potakiwały Rzębisze, powstawały na chłopów, aż Kołtun zaklął się, że choćby sam jeden, to trupa odkopie.

Wieczorem znowu gromada się zebrała, i stanęło na naradzie, że trzeba iść do wróża co on powie. A mieszkał wróż o pół mili ku górom, we wsi Murowanej. Z professyi był on stary młynarz, a nazywał się Majcher Znachor i sławny był do koła z wróżenia. Kto komu ukradł konia, albo bydle, albo rzecz jaką, to on zaraz powiadał i w takich razach zwykle też ludzie udawali się do niego. Kiedy kilku chłopów przyszło nazajutrz o słońcu i weszło do chałupy Znachora, on tylko spojrzał na nich maluśkiemi błyskotliwemi oczami, wsiąknął kulkowatym nosem, klapnął gębą i zapytał:

— A zkądżeście to przyszli?

Kołtun co stał na przedzie wszystkich z gęsią pod pachą, ozwał się:

— Przyszliśmy z Kozichrogów poradzić się was.

A Znachor uśmiechnął się tylko i powiedział:

— Wiem pocoście przyszli. Zakopaliście tam ziarno z trupem, toście sobie i wszystkim do koła piwa nawarzyli. Wracajcie prędko i dostańcie ziarno z grobu, bo burza się jeszcze pięć razy powtórzy i wszystko spłynie.

Ludzi jakby piorun trzasł, tak się poprzestraszali słowa Znachora. A Kołtun wyrzekł:

— Oddawna nam to gadała o tem jedna kobieta Rzębicha, ale ludzie jej nie słuchali i do tego czasu nie odważyli się na odkopanie.

— No, no, idźcie, wyrzekł Znachor, idźcie jeno zaraz i nie dajcie ziarnu leżeć pod trupią głową.

— To chodźmy, kiedy już tak, powiedział Kołtun, chodźmy już raz skończyć. A to za fatygę dla was, przemówił do Znachora, i położył mu gęś pod piecem, na podarunek od swojej gromady.

— E, obyłoby się bez tego, przemówił Znachor, macie tyle szkody, że i nas już dosięgło to złe. Idźcie jeno a nie odkładajcie na długo, bo lada dzień powtórzy się ulewa.

Ludzie zaraz poszli od wróża, wstąpili jeno na kieliszek gorzałki do karczmy. Tam się jeszcze naradzili jak to zrobić z tém odkopywaniem grobu i zrobiło się im lżej na duszy, bo kilku chłopów z Murowanej obiecali też przyjść jutro z rana prosto na cmentaz, a nawet chłop z Paździerka co wracał z listami, wspomniał że może też i od nich przyjdą ludzie do odkopywania. Nie było jeszcze wieczora, a ludzie nie tylko z Kozichrogów, ale może z kilkunastu wsi, jak się wywiedzieli o złém, zbierali się nazajutrz wystąpić z rydlami. Wsie prawie całe nie spały, jeno myślały o wyprawie na cmentarz, a o świcie ledwo zdążyli zjeść śniadanie, wszyscy śpieszyli się z rydlami i jak oko sięgło do koła, ze wszystkich stron szły gromadki ludzi ku miasteczku. Nawet kupka mieszczan przyszła na cmentarz, nie brakło też kobiet a nawet dzieci.

Jak to się wszystko zebrało koło grobu, wystąpił Kołtun, nie przemówił ani słowa do ludzi, tylko się ręką przeżegnał i wziął się do odkopywania. Rzębicha radośnie spojrzała na Kołtuna, że się pierwszy podjął tego, bo za nim poszli i drudzy i odgrzebywali ziemię. Kiedy wyrzucili ziemię do saméj trumny, ktoś zawołał że to nie ten grób, bo trumna w nim czarno malowana, a Józwa nie była malowana. Wylazł z grobu Kołtun, zasypali dół napowrót, a wzięli się do sąsiedniego, bo po kamieniach niektórzy poznali że mnsi być grób czarownika. I kiedy się dokopali do dna, okazało się że teraz trafili dobrze. Trumnę wydostali na wierzch, postawili na piasek i odbili ją, ale jak dekę odrzucił Kołtun i ludzie spojrzeli na zczerniałego trupa, na pogniłe ciało i szmaty, odskoczyli od trumny jakby ich kto opętał. Dzieci wrzasku narobiły, niektórym kobietom mgło się zrobiło i poodchodziły za cmentarz. Zapach trupi poczuł się na powietrzu, ludzie z odrazą się odwracali, ale kawki i kruki nalatywały od boru i krążyły w górze nad trupem, a cieszyły się a krakały. Ludzie stali i stali i ani kroku żaden nie podstąpił. Długie pacierze tak przeszło i nikt nie nabrał odwagi. Kołtun wstydził się Rzębichy i stał zdala od niej, tylko ze wstydu radził się jak tu począć. Długa była narada i końcaby jej nie było może, a przynajmniej tak się wydało Rzębisze, to też zawrzeszczała na chłopów:

— Oj, wy baby, baby, bać się trupa!..

I rozgniewana przypadła do trumny, chwyciła za róg woreczka i wyrwała go z pod trupa, aż mu głowa stukła o deski. Ludzie tém ośmieleni, podsunęli się za Rzębichą i przy-

stąpili do trumny. Byłby może na tém koniec, ale z worka już nadgniłego wysypało się dużo ziarna na trupa i do trumny, a Kołtun ozwał się, że wróż powiedział, żeby ani ziarnka nie zakopywać z trupem. Co tu począć? znowu narada.

— Wyrzucić trupa z trumny i wyzbierać ziarna do jednego, zawołała Rzębicha.

I sama z pomocą Kołtuna i starej Jantoski przewrócili trumnę do góry dnem, zostawili trupa na ziemi, a sami wyzbierali ziarna i rydlami wyskrobywali deski. Kazała potém Rzębicha starej Jantosce pozabierać we fartuch jaje, słoninę i kiełbasę co wypadły z trumny. Stara Jantoska ze wstrętem na to spojrzała, ale żeby się z niej nie wyśmiewała Rzębicha, zabrała wszystko we fartuch. Jak się już Rzębicha napokazywała ze swojej odwagi, ozwała się do ludzi:

— Kochaneczki, już mamy ziarna i jadło, już nam nic nie zrobi teraz, człek się uspokoi, weźta go teraz i włóżta do trumny.

Ludzie brali się do trupa, ale ciało jego rozłaziło się im w palcach.

— Nie tak, nie tak, wołała Rzębicha, rydlami go podnieście, a obróćcie głowami tam gdzie były nogi, i położyć go do góry plecami, to już nie wyjrzy na świat.

Jak go tak ludzie położyli w trumnę, zakryli go wiekiem, opuścili w grób i zasypali ziemią. Potém Kołtun przyklepnął rydlem ziemię i rzekł:

— Leż sobie. No, kiedyśmy swoje zrobili, co teraz zrobimy z ziarnem?

A stara Jantoska zawołała:

— A księdzu odnieść, księdzu, niechaj widzi że prawdę ludzie mówili. Chodźmy na plebanją.

— Na plebanją, zawołała Rzębicha, na plebanją! Nauczyć księdza, żeby nie trzymał z czarownicami, co nam takiego nieszczęścia narobiła. Zanieść mu to wszystko, rozesłać mu na łóżku, niech się na tem prześpi, niech wącha, niech jé.

Przy krzyku: „na plebanją, na plebanją!“ postępowała cała chmara ludzi ku miasteczku. Na czele szedł Kołtun z rydlem na ramieniu, Rzębicha z workiem nadgniłym, a stara Jantoska z jadłem.

Głupi Wojtek co był przy wszystkiém na cmentarzu, jak usłyszał odgróżki na księdza, chyłkiem pod płotami, domami poleciał do księdza, żeby go ostrzedz. Ksiądz dopiero że wrócił od chorego i jak się dowiedział o napaści, umyślił wystąpić naprzeciw ludziom. Domownicy i Pawelak co na plebanii siedział od rana z Grzelczykiem, namawiali księdza żeby się gdzie schował, ale ksiądz nie chciał i powiedział im:

— Kiedym przez trzydzieści lat nie potrafił ich nauczyć prawdziwej wiary, niechaj mnie karzą. Zresztą bez woli Boga i włos mi z głowy nie spadnie, ja pójdę do nich.

I wystąpił ksiądz na drogę przy kościele. Przy nim stanął Pawelak, organista, domownicy i podeszło kilkunastu mieszczan. Kiedy chmara ludzi się zbliżała z krzykiem:

— Ha, wylazł już pod kościół, do Boga jak trwoga, oddać mu czarodziejskie ziarno...

Ksiądz zdjął kapelusz, podniósł ręce do góry i wołał wielkim głosem:

— Ojcze Niebieski, przepuść im, bo nie wiedzą co czynią! To dzieci Twoje, chociaż błędne i ciemne. Nie karz ich Panie, a oświeć ich umysły; serca ich natchnij miłością braterską! Błogosław ich Boże, oni będą dobrzy jak tylko przejrzą, jak tylko przyjmą do duszy słowa Ewangelii. Jam grzeszny, jam winien swoją niedbałością, oni niewinni. Przebacz im Panie!

Potém załzawiony staruszek spojrzał na ludzi wrzeszczących, przeżegnał ich krzyżem i błogosławił:

— Ja wam odpuszczam w Imie Ojca i Syna i Ducha Świętego, a wy odpuście mi moje lenistwo i ospałość w powinności mojej, żem was tak opuścił...

Ludzie się zatrzymali jak spojrzeli na spokój księdza, ale zapérzona Rzębicha chciała dokazać przy ludziach swego, wystąpiła naprzód, gębę otworzyła żeby coś zawrzeszczeć, jeno Pawelak co stał przy księdzu, spojrzał na nią groźnie ze ściśniętą pięścią i zasyczał:

— Psyt...

Rzębicha się zatrzymała, gębę zamkła, a Pawelak zawołał:

— Ludzie z Kozichrogów, idźta do domu, żebyśta nieszczęścia sobie nie narobili, bo teraz dopiero ziarno narobi biédy...

Powaga Pawelaka wpłynęła nie tylko na swoich, ale i na cudzych. Zagrożenie jego, wy-

dało się wielom nie na żarty. Potém Pawelak powiedział księdzu:

— Niech jegomość z łaski swojej idzie na plebanją, bo nasi pójdą do domu.

Ksiądz odpowiedział:

— Niech idą z Bogiem. Oby ich Bóg uchronił od biédy...

I po przeżegnaniu odszedł ksiądz na plebanją z organistą i mieszczanami, a Pawelak opuścił głowę i poszedł ku Kozimrogom. Za nim Grzelczyk i inni postępowali i cała chmara ludzi posępnie kupkami po różnych drogach wracała do swoich wsi. Zostało tylko kilka bab i z kilkunastu chłopów od Murowanej i z Kozichrogów, co mówili że trzeba coś ze ziarnem zrobić.

Ta kupka ludzi naradzała się prawie do wieczora w szynku. Wieczorem dopiero przemówiła Rzębicha:

— Trzeba kochanki tak zrobić: trzeba obejść z tem ziarnem trzy razy koło chałupy Józwowej, potém dać go jej zjeść, a potém uciąć jej na progu głowę, a potém chałupę zapalić na cztery rogi.

Pijani ludzie zawołali na to:

— Zabić, zabić bestyą czarownicę, będzie mniej zła na świecie.

Kołtun jeszcze dodał:

— To chodźta chłopcy za mną raz skończyć, boby nam jeszcae mogła co zadać.

Poszli też prawie wszyscy za Kołtunem i za Rzębichą i za starą Jantoską, co niosły ziarno i jadło. Kiedy przyszli na miejsce, umówili się żeby ze wszystkich stron chałupę okrążyć. Jedni postawali we drzwiach, drudzy w oknach, a inni po rogach. Reszta wpadła do izby do Józwowej, a jak jej nigdzie nie znaleźli i wywiedzieli się, że dawno już się wyniosła gdzieś w świat, wybili dzieci i siostrę Józwowej i szwagra, i wypędzili na dwór. Wpadli do komory, połamali i potłukli wszystko, a co mogli pozabierali z rzeczy, z jadła. Potém ze czterech stron zapalili strzechę.

Trzeba było, że kiedy ci ludzie podchodzili pod chałupę, przyszedł tam na wywiady głupi Wojtek i jak usłyszał o zabiciu Józwowej i o spaleniu chałupy, poleciał pędem do Jana Pawelaka.

Pawelak, a za nim kilkoro ludzi ze wsi, nim dobiegli do chałupy Józwowej na obronę, już cały dach był w płomieniach, a z tego dachu ogień za wiatrem przeleciał na drugie dwory. A nie przeszło i dwóch pacierzy, jak zajęło się od ognia prawie pół wsi.

Głupi Wojtek pędził przez drogę i wołał do chałup, żeby się ci ludzie budzili co spali:

— Gore, gore, wychodźta, bo gore!..

Gwałt, krzyk, wrzask, lament taki się we wsi zrobił, że nie usłyszyć coś podobnego.

Pijany Kołtun, jak wpadł do swego domostwa dla obrony, wypalił sobie oczy do cna. Z bólu tarzał się na ziemi i krzyczał strasznie, a obronić nic nie mógł. Spaliło się u sąsiada jedno zamknięte dziecko w izbie, a w całym ogniu dużo ludzi się poopalało.

Z miasteczka przyjechała sikawka i przyszli ludzie do gaszenia, ale nic nie mogli skórać i jedna połowa wsi za wiatrem do północka jeszcze, spaliła się na węgiel.

Głupi Wojtek opowiedział jaki był początek ognia. Połapali wszystkich ludzi co podchodzili do Józwowej chałupy na zabójstwo i podpalanie i poprowadzili ich do miasteczka związanych. Kołtun opalony wrzeszczał i klął Rzębichę, klęła ją i stara Jantoska, a inni powiązani klęli ich wszystko troje, jako najgorszych.

Pogorzelcy ze wsi, co wczoraj narzekali na zakopane ziarno, teraz napłakać się nie mogli na to, że się dali wciągnąć do głupstwa. Bo z głupstwa urosło tyle nieszczęścia! trzydzieści chałup się spaliło, a kilkanaścioro ludzi wsadzono do więzienia i jakby zatracono ich dla świata. A ile to do dziś dnia pozostało jeszcze z tego, płaczu i umartwienia i zgryzoty dla drugich... a i nędzy...

Oj ziarno, ziarno, czegoś ty narobiło, jak cię ludzie przedzierzgnęli w czarodziejskie nasienie!.. Wszyscy co mnie słuchacie, żałujecie pewno pogorzelców i Józwowej, co się do wsi potém wróciła, pożałujcie też i biednych dusz winowajców. Z ciemnoty oni jedynie byli uparci i narobili sobie i ludziom zła. I pewno wszyscy oni teraz, już sami zaczęli wierzyć proboszczowi i Pawelakowi, bo ciężkie doświadczenie jest wielką nauką dla tych, co w ciemnościach błędnie chodzą po świecie, a światła unikają i boją się go jak ogników na bagnach.

W drukarni J. Ungra. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowej. — Warszawa dnia 1 Czerwca 1862 r.